

007

JAMES BOND
ORYGINALNE FRAGMENTY -
IAN FLEMING

CYNGIEL ŚMIERCI



ANTHONY HOROWITZ



CYNGIEL ŚMIERCI

TEGO AUTORA POLECAMY RÓWNIEŻ

Dom Jedwabny

ANTHONY HOROWITZ

CYNGIEL ŚMIERCI

Przełożył
Maciej Szymański



DOM WYDAWNICZY REBIS

Tytuł oryginału
Trigger Mortis

Copyright © Ian Fleming Publications Limited and The Ian Fleming Estate 2015

The moral rights of the author have been asserted.
Autorskie prawa osobiste zostają zachowane.

Material from *Murder On Wheels*, by Ian Fleming, Copyright © The Ian Fleming Estate 2015

Translation copyright © 2015 by REBIS Publishing House Ltd.

JAMES BOND and *007* are the registered trade marks of Danjaq LLC,
used under licence by Ian Fleming Publications Limited. All Rights Reserved.

The Ian Fleming logo is a trademark owned and used by The Ian Fleming Estate,
used under licence by Ian Fleming Publications Ltd

007

Trigger Mortis © Ian Fleming Publications Ltd
and The Ian Fleming Estate 2015

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2015

Redaktor
Krzysztof Tropiło

Projekt okładki
© Dom Wydawniczy REBIS

Fotografie na okładce
© alphaspirit/iStock (sylwetka mężczyzny)
© Adrianna Williams/Corbis/Profimedia (sylwetka kobiety)
© Michael Cole/Corbis/Profimedia (samochód)
fot. na lic. CC BY 2.0/Flickr/THOR (kieliszek)

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw,
jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim
lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty,
nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją,
rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydanie I
Poznań 2015

ISBN 978-83-7818-796-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

DTP: AKAPIT, Poznań, tel. 61-879-38-88

Prolog

Była to ta chwila dnia, w której zwykle świat ma już dość. Słońce rozsiało się na horyzoncie, jego łagodny, czerwony blask pełzał po rozlewiskach przypływu, a stadka ptaków kreśliły przypadkowe wzory na pustym niebie. Wiatr ucichł, a popołudniowy upał, uwięziony w tumanach pyłu i obłokach spalin, stał się dotkliwy. Przez rozpalone, nieruchome powietrze przeciskał się granatowy crosley kombi. Podążał samotnie szosą numer 13, kierując się w głąb łądu.

Był to niewielki, wyjątkowo paskudny samochód o zbyt masywnej masce, kanciastej budzie i stalowej karoserii napoczętej już przez żarłoczną rdzę. Kierowca, zgarbiony nad kierownicą i wpatrzony w pustą drogę, kupił go za trzysta dolarów od handlarza, który przysięgał, że wóz przejedzie czterdzieści mil na galonie benzyny i rozpędzi się gładko do pięćdziesięciu mil na godzinę. Kłamał, rzecz jasna... błyskając idealnym uzębieniem i przyjaznym uśmiechem typowego małomiasteczkowego kanciarza. Crosley rozpędzał się tylko w dół stromych wzniesień, a tu, na wschodnim wybrzeżu Wirginii, krajobraz był płaski jak okiem sięgnąć.

Kierowca wyglądał na profesora albo bibliotekarza, kogoś, kto spędza stanowczo za dużo czasu w czterech ścianach. Miał bladą cerę i nikotynowy nalot na palcach, a jego okulary z biegiem lat zapadły się w grzbiet nosa tak bardzo, że przeobraziły się w stały element jego fizjonomii. U szczytu jego imponującego czoła, pod przerzedzonymi włosami, widać było plamy wątrobowe. Nazywał się Thomas Keller.

Choć posługiwał się amerykańskim paszportem, urodził się w Niemczech i rodzimą mową wciąż jeszcze władał lepiej niż językiem swej nowej ojczyzny. Nie odrywając dłoni od kierownicy, Keller odwrócił nadgarstek, by zerknąć na szesnastokamieniowy, wojskowy zegarek Elgin, nabyty w lombardzie w Salisbury, gdzie niemal na pewno zostawił go jakiś żołnierz, któremu skończył się zapas szczęścia. Przyjechał punktualnie. Włączył kierunkowskaz, zbliżając się do zjazdu. Pomyślał, że za godzinę będzie miał dość pieniędzy, by kupić sobie i porządny samochód, i porządny zegarek – naturalnie szwajcarski, może Heuera, a może Roleksa – i że nareszcie rozpocznie porządne życie.

Zatrzymał wóz przed restauracją, srebrzystym, podłużnym pudłem, które wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi przywieziono na to odludzie ciężarówką, w jednym kawałku. Nazwę lokalu, Lucie's, obwieszczał światu różowy neon zawieszony nad szyldem reklamującym cztery specjalty, które dla większości mieszkańców Stanów Zjednoczonych były kwintesencją amerykańskiej kuchni: hamburgery, hot dogi, frytki i koktajle mleczne. Wysiadając z samochodu, Keller poczuł, że jego koszula odkleja się niechętnie od winylowej tapicerki fotela. Sięgnął po marynarkę leżącą na siedzeniu pasażera. Przez chwilę stał w ciepłym powietrzu, słuchając muzyki z szafy grającej. Rozmyślał o drodze, którą przyszło mu pokonać, zanim się tu znalazł.

Thomas Keller ledwie zdążył ukończyć studia – zgłębiał fizykę i budowę maszyn – gdy los zetknął go z tym, co miało stać się pasją jego życia. Zdarzyło się to w kinie Harmonie w Sachsenhausen, dokąd udał się w towarzystwie urodzivej dziewczyny, by zobaczyć nowy film Fritza Langa, *Frau im Mond – Kobieta na Księżycu*. Już po pięciu minutach zapomniał o dziewczynie, a nawet o tym, że miał nadzieję zawrzeć z nią po seansie bliższą znajomość na parkingu przed kinem. Gdy patrzył, jak na ekranie potężna, wielostopniowa rakietka wyrывa się z orbity okołoziemskiej, coś się w nim przebudziło i pochłonęło go na zawsze. Równie wielka siła popchnęła go wkrótce ku Uniwersytetowi w Berlinie, a po-

tem w szeregi Verein für Raumschiffahrt – Towarzystwa Podróży Kosmicznych – i wreszcie na wybrzeże Bałtyku, do portowej miejscowości o nazwie Peenemünde.

W owym czasie niemieckie badania nad napędem rakietowym były już mocno zaawansowane, bo choć zniechęcający traktat wersalski drastycznie ograniczył możliwości rozwoju nowych broni, to restrykcje nie dotyczyły badań w dziedzinie podróży kosmicznych. Dowódcy niemieckich sił zbrojnych szybko pojęli, że rakiety napędzane ciekłym paliwem, odpalane z nieskomplikowanych, wręcz zaimprovizowanych platform startowych, rozwijają o wiele wyższą prędkość i mają o wiele większy zasięg niż jakiegokolwiek pociski artyleryjskie. Innymi słowy, mogą dostarczyć śmiertelny ładunek do każdego większego miasta Europy.

Keller miał trzydzieści sześć lat, gdy poznał szefa niemieckiego programu kosmicznego, konstruktora rakiet (i SS-Sturmbannführera) Wernhera von Brauna. Ów potomek pruskich baronów, już od trzynastego wieku żyjących głównie wojną, nie stracił nic z arystokratycznej duszy swych przodków. Maszerując przez pokoje podległej mu instytucji, warczał na każdego, kto ośmielił się wyrazić sprzeciw wobec jego zdania; potrafił też, gdy był w odpowiednim humorze, traktować podwładnych z chłodnym lekceważeniem. Lecz jednocześnie był bezgranicznie oddany pracy; wymagał najlepszego nie tylko od swych ludzi, ale i od siebie. Keller bał się go i podziwiał zarazem.

W owym czasie, rzecz jasna, władzę sprawował już pewien austriacki kapral, a Niemcy toczyły wojnę. To jednak nieszczęśliwie obchodziło Kellera. Podobnie jak większość naukowców, jego jedynych przyjaciół, i on nie interesował się sprawami świata. Dopóki Hitler łądował forsy – jedenaście milionów marek niemieckich z budżetu Luftwaffe i wojsk lądowych – w program rozwoju myśliwców o napędzie rakietowym i pocisków balistycznych, gotów był ochoczo przymknąć oko na mroczniejszą stronę działalności nazistów. Gdy latem 1944 roku startowała z Peenemünde pierwsza z rakiet V-2, ani przez chwilę nie myślał o tym, że

jej tonowy ładunek niesie ludziom śmierć i zniszczenie. Był artystą, a to było jego płótno. Przeżywał chwilę czystej ekstazy, gdy patrzył na kłęby białego dymu, rozświetlane iskrami z systemu zapłonowego, i nagły rozbłysk czerwonego płomienia, na opadające liny i wzlot smukłej, eleganckiej bestii ku niebu. Wibracje przenikały go na wskroś i miał wrażenie, że nawet jego skóra ożywa. Radował się na myśl o tym, że należy do elitarnego grona stwórców, których rakietą, niesioną niewiarygodną mocą 800 000 koni mechanicznych, niebawem pędzić będzie pięciokrotnie szybciej niż dźwięk. Mieszkańcy Londynu nie mieli pojęcia, jak doskonała broń, jak perfekcyjne dzieło ludzkiego geniuszu zada im śmierć. Zdarzało się, że Keller nie mógł znieść emocji i ukradkiem ocierał łzy radości.

Gdy wojna dobiegła końca, przez krótki czas zastanawiał się, czy aby nie będzie musiał ponieść konsekwencji. Był obecny w chwili, gdy von Braun poddał się Amerykanom. Przesłuchali i jego, bo znalazł się na sławetnej czarnej liście, jak nazwano wykaz najważniejszych naukowców pracujących ku chwale Niemiec. Lecz nawet wtedy nie martwił się zbyt wiele. To, co współtworzył w zespole von Brauna, było dla aliantów zbyt cenne. Szybko nabrał przekonania, że dane mu będzie kontynuować to dzieło. I nie mylił się. Obaj zostali zwolnieni jeszcze tego samego dnia. Wkrótce potem wraz z tuzinem innych naukowców i techników odlecieli z Niemiec. Dotarli do Fort Bliss, bazy sił lądowych Stanów Zjednoczonych opodal El Paso. Niektórych zaopatrzone w nową tożsamość i wszyscy razem zaczęli pracę dla nowych zwierzchników, dokładnie od tego miejsca, w którym im ją tak niegrzecznie przerwano.

Keller miał teraz pięćdziesiąt lat i jego kariera miała się ku końcowi. Mieszkał w USA od dwunastu lat, lecz nikomu nie przeszłoby przez myśl wziąć go omyłkowo za Amerykanina. Z budowy ciała i fizjonomii był obcokrajowcem, powolnym i niezgrabnym. Mówił wolno, z namysłem i z akcentem tak silnym, że już po pierwszych słowach można było odgadnąć, skąd pochodził. Nie miało to jednak żad-

nego znaczenia – wojna dawno się skończyła i nikogo już nie obchodziła. Zresztą on sam uważał, że zasymilował się bezbłędnie w sprawach, jego zdaniem, dalece ważniejszych. Szczególne zadowolenie czerpał z faktu, że już po trzech latach udało mu się poślubić rodowitą Amerykankę – kelnerkę z baru koktajlowego w El Paso. Razem przeprowadzili się do nowego, stuprocentowo amerykańskiego domu w Salisbury w stanie Maryland. Keller kierował tu pracami Laboratorium Badawczego Marynarki Wojennej (NRL) na poligonie raketowym na wyspie Wallops. Niepełna przed godziną wyszedł z biura.

I wreszcie dotarł na miejsce.

Wszedł do restauracji i od razu poczuł chłodny podmuch od strony klimatyzatora. Grająca szafa właśnie zaczynała odtwarzać kolejną piosenkę The Everly Brothers.

*Żegnaj, miłości
Żegnaj, szczęście...*

Keller nie interesował się amerykańską muzyką, ale już od paru miesięcy trudno było uciec od tej melodii. Pomyślał, że ciężko byłoby znaleźć tekst gorzej pasujący do sytuacji, w której się znalazł, bo przyjechał tu przecież pełen nadziei, nie oczekując niczego innego, jak właśnie szczęścia.

Mężczyzna, z którym miał się spotkać, czekał na niego tam, gdzie miał czekać: przy stoliku w kącie sali, blisko okna. Miał na sobie – jak zawsze – garnitur Brooks Brothers, koszulę z kołnierzykiem przypiętym guzikami oraz mokasyny. Musiał przyjechać wcześniej, niż zapowiadał; leżała przed nim gazeta z częściowo wypełnioną krzyżówką. Keller znał go jako Harry’ego Johnsona, ale był w zasadzie pewny, że to fałszywe nazwisko. Odrobinę niezgrabnym gestem uniósł rękę na powitanie, zanim ruszył po czerwono-białej szachownicy kafelków, by wcisnąć się za krawędź narożnego stolika. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie włożył marynarki. Cóż, teraz było już za późno. Postanowił, że nie pozwoli sobie na żaden ruch, który mógłby zostać odczyta-

ny jako niezręczny czy nieprzygotowany. Położył marynarkę na sąsiednim siedzisku.

– Jak się pan miewa, panie Keller? – spytał Johnson z bezbarwnym akcentem rodem z Manhattanu.

– Nie najgorzej, dziękuję.

Harry Johnson był o dziesięć, może piętnaście lat młodszy od Kellera, ale wydawał się starszy, głównie dlatego, że policzki jego pociągłej twarzy przecinały głębokie bruzdy, a krótko ostrzyżone włosy połyskiwały siwizną. Długopis wolno obracał się w jego palcach, z których jeden zdobił złoty sygnet.

– Co jest stolicą Wenezueli? – spytał.

– Słucham? – zdziwił się Keller.

– Dziewięć pionowo: stolica Wenezueli. Siedem liter, pierwsza C.

– Nie wiem – odparł zirytowany Niemiec. – Nie interesuję się krzyżówkami.

– Dobrze już, dobrze. Tak tylko spytałem. – Johnson wreszcie oderwał wzrok od gazety. – Zrobione?

Tym razem Keller wiedział, o co chodzi.

Widzieli się po raz czwarty. Pamiętał dobrze pierwsze spotkanie, na pozór przypadkowe, w barze w centrum Salisbury. Johnson siedział sobie, jak gdyby nigdy nic, na sąsiednim stołku. Keller nawet nie zauważył, w którym momencie zjawił się w lokalu. Zaczęli rozmawiać. Johnson powiedział, że jest biznesmenem, co prawdopodobnie było prawdą, ale jednocześnie praktycznie nic nie znaczyło. Z głęboką fascynacją przyjął wiadomość o tym, że Keller jest uczonym i specjalizuje się w konstruowaniu rakiet. Przy drugiej kolejce drinków – Johnson twierdził uparcie, że stawia – zadał całą serię na pozór niewinnych, a przecież bardzo wnikliwych pytań, starając się nie spłoszyć swego rozmówcy. Naturalnie cała sytuacja była starannie zaaranżowana. Zanim zamienili choćby słowo, wiedział o Kellerze wszystko. Nim wieczór dobiegł końca, umówili się na kolejne spotkanie. Dlaczego nie? Johnson był przecież niezłym kompanem. Kiedy wychodził, jakby od niechcienia wspomniął, że może będzie miał dla Kellera pewną propozycję.

– Będzie pan miał okazję trochę dorobić. Tak tylko pomyślałem... Pogadamy o tym następnym razem.

Ale następnym razem nie spieszył się ze składaniem propozycji. Poprzestali na porównywaniu żon, rodzin, pakietów płacowych i aspiracji. Była to zwykła, męska rozmowa, w której Keller odzywał się zdecydowanie częściej. Dopiero na trzecim spotkaniu, gdy już poznali się lepiej, Johnson wyłuszczył mu swój plan. Wtedy też Keller powinien był zgłosić sprawę policji, albo – jeszcze lepiej – pójść z nią prosto do biura służby bezpieczeństwa marynarki wojennej, które mieściło się w południowej części wyspy Wallops.

Oczywiście nie zrobił tego. Johnson albo raczej ludzie, którzy za nim stali, wybrali go właśnie dlatego, że wiedzieli, iż tego nie zrobi. Prawdopodobnie przyglądali mu się od miesięcy. Kim właściwie byli? Keller miał to gdzieś. Wolał trwać przy owej krótkowzroczności, która pozwoliła mu w spokoju przeżyć wojnę. Nie musiał widzieć pełnego obrazu sytuacji. Nie obchodziła go szersza perspektywa spraw. Skupił się na propozycji, którą mu złożono, na dwustu pięćdziesięciu tysiącach wolnych od podatku dolarów, które miał otrzymać, jeśli zgodzi się wykonać zadanie. I zgodził się niemal natychmiast. Potrzebowali już tylko jednego spotkania, żeby omówić szczegóły. Sprawa była jasna, ale samo zadanie – niezbyt proste. Wymagało doskonałego zrozumienia mechaniki ciał stałych i naprężeń powstających w materiale wskutek rozciągania, lecz przecież właśnie to było jego specjalnością. Wiedział, że jeśli dopisze mu szczęście, przez cztery do pięciu minut będzie sam. Ryzyko było spore, podobnie jak wynagrodzenie. I właśnie tej kalkulacji dokonał w pierwszej kolejności.

– Pytałem, czy zrobione.

– Tak. – Keller skinął głową. – Zadanie okazało się znacznie prostsze, niż się spodziewałem. Wszedłem do hali montażowej podczas ćwiczeń pożarowych... – Urwał, tknięty nagłą myślą. Pozwolił sobie na zbyt ni entuzjazm, a to groziło zbagatelizowaniem tego, czego właśnie dokonał. – Naturalnie musiałem działać szybko. Im bliżej do startu, tym bar-

dziej pilnują bezpieczeństwa obiektów. I oczywiście trzeba było to zrobić starannie, bo zawsze może się zdarzyć niezapowiedziana inspekcja przedstartowa. Moja robota musiała więc być... *unsichtbar*. – Przez chwilę szukał w pamięci angielskiego słowa. – Niewidoczna.

– Silnik zgaśnie?

– Nie. Ale nie będzie wydajny. Ilość paliwa tłoczonego do komory spalania będzie niewystarczająca. Już panu tłumaczyłem, jak to działa. Ważne jest to, że rezultat będzie dokładnie taki, jakiego pan sobie życzył.

Umilkli, gdy zbliżyła się kelnerka z dzbankiem kawy i wodą z lodem. Jadłospisy leżały przed nimi nieotwarte. Nie zamierzali jeść.

– A co z terminem startu? – spytał Johnson.

Keller wzruszył ramionami. Nie lubił kawy. Ile to już galonów tego świństwa dane mu było wypić i ile kartonów papierosów wypalić, odkąd przybył do Ameryki i zaczął pracować, często całymi nocami? Odsunął filiżankę.

– Bez zmian, od dziś za dwanaście dni. Przeglądałem prognozy pogody, są pomyślne. Ale pewności nigdy nie ma. Kluczowa jest siła wiatru, a jeśli warunki nie będą sprzyjające... – Keller umilkł na chwilę. – Ale to już mnie nie obchodzi. Zrobiłem to, o co mnie pan prosił. Gdzie pieniądze?

Mężczyzna nie odpowiedział. Przez chwilę patrzył prosto w oczy Niemca, a potem sięgnął po okulary przeciwsłoneczne, które wystawały z kieszonki na piersi. Był to znak, że spotkanie dobiegło końca.

– Pod stołem stoi teczka.

– A pieniądze?

– Są w teczce.

Johnson chciał się oddalić, ale Keller go zatrzymał.

– Muszę panu coś powiedzieć – oznajmił. – To ważne. – Przeciwiczył wcześniej tę mowę i był nawet dumny z tego, jak ją sobie ułożył i jak starannie ją przemyślał. – Nie będę liczył pieniędzy. Założę, że jest ich tyle, ile powinno być. Lecz jednocześnie muszę pana ostrzec. Nie wiem, kto pana zatrudnił, i nie obchodzi mnie to. Z pewnością pracuje pan dla poważnych ludzi. Z drugiej jednak strony ćwierć

miliona dolarów to spora kwota, więc stawka jest wysoka. Możliwe, że w trosce o własne bezpieczeństwo postanowicie mnie uciszyć. Nie byłoby to zbyt trudne, *nein*? Wystarczyłoby na przykład włożyć ładunek wybuchowy do tej teczki. Zginąłbym, zanim wróciłbym do samochodu. Nietrudno też o wypadek na szosie. I dlatego chciałbym, żeby pan wiedział, że opisałem wszystkie nasze spotkania, ze szczególnym uwzględnieniem propozycji, którą mi pan złożył. Co więcej, nie poprzestałem na opisie, dołączyłem nawet pańskie zdjęcie. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan ten mały podstęp. Niewątpliwie rozumie pan, w jakim się znalazłem położeniu. Dodam, że zanotowałem też model i numer rejestracyjny samochodu, którym pan podróżuje. Wszystkie te materiały zdeponowałem u przyjaciela z prośbą, by przekazał je władzom, gdyby coś mi się stało. Rozumie pan, do czego zmierzam? Nie dojdzie wtedy do awarii układu napędowego rakiety. Możliwe, że policja będzie potrzebowała trochę czasu, żeby pana odnaleźć, ale ważne jest to, że będzie wiedziała o pańskim istnieniu i już nie zgubi tropu.

Johnson wysłuchał przemowy w milczeniu, a gdy Keller skończył, popatrzył na niego z niedowierzaniem. Był to bodaj pierwszy raz, kiedy zdarzyło mu się okazać emocje.

– Za kogo pan nas bierze? – spytał. – Sądzi pan, że jesteśmy gangsterami? Powiem panu jedno, Tom: czytuje pan niewłaściwe książki. Wykonał pan dla nas pewną usługę, a my zapłaciliśmy zgodnie z umową. Zresztą nie ma pan racji. Z naszego punktu widzenia ćwierć miliona dolarów to nie jest spora kwota. Odezwiemy się ponownie tylko w przypadku, gdy okaże się, że nie dotrzymał pan słowa. Wtedy istotnie pańskie życie może być zagrożone. Lecz choć pan nam nie ufa, my wierzymy panu bezgranicznie. – To rzekłszy, Johnson rzucił na stolik kilka monet, należność za kawę, zwinął gazetę w rulon i wstał. – Do widzenia.

– Proszę zaczekać... – Keller był zakłopotany. – Caracas.

– Caracas?

– Hasło w krzyżówce. Stolica Wenezueli.

Johnson skinął głową.

– Naturalnie. Dziękuję.

Keller odprowadził go wzrokiem. To prawda, że jego słowa brzmiały nieco melodramatycznie, a inspiracją dla nich były filmy, które oglądał wspólnie z żoną. Co więcej, rozmijały się z prawdą. Nie istniała żadna relacja ze spotkań z Johnsonem, nie istniało zdjęcie, nie było też przyjaciela gotowego pójść na policję. Keller miał tylko nadzieję, że groźba zapewni mu bezpieczeństwo. A może się mylił? Może wyszedł na dumnia? Teraz dopiero przypomniał sobie o pieniądzach. Sięgnął pod stół i poczuł pod palcami coś twardego. Pod ścianą naprawdę stała teczka! Wyjął ją i otworzył zamki. Uchylił wieko tylko na tyle, by zająrzeć do środka. Wyglądało na to, że nie został oszukany: zobaczył schludnie ułożone pliki pięćdziesięciodolarówek. Zamknął teczkę, włożył marynarkę i czym prędzej opuścił restaurację. Na parkingu nie pozostał nawet ślad po Harrym Johnsonie. Keller podszedł do swego wozu, rzucił teczkę na fotel pasażera i usiadł za kierownicą.

Potrzebował dwudziestu minut, by dotrzeć do domu, w którym czekała na niego Gloria. Na myśl o niej uśmiechnął się i odprężył nieco, prowadząc wóz. W końcu robił to wszystko właśnie dla niej.

Była o piętnaście lat młodsza od niego, niewysoka i odrobinę przy kości, ale w sposób, który go podniecał, jej bujne piersi i biodra toczyły nieustanny bój z tkaniną jej strojów. Gdy się poznali, miała dwadzieścia parę lat. Zrobił na niej wielkie wrażenie, opowiadając o sobie – oto człowiek, którego w głębokiej tajemnicy przerzucono z Europy do Stanów, gdzie w ściśle tajnym ośrodku badawczym podjął pracę konstruktora rakiet kosmicznych. Wydawało jej się, że to historia żywcem wyjęta z tanich powieści, w których się zaczytywała. Niespecjalnie liczyło się nawet to, że był nieatrakcyjnym Niemcem i że niekiedy spełnianie jego życzeń sprawiało jej ból. Brali ślub jako szczęśliwa para i wspólnie podjęli decyzję o przenosinach na północ. Wybrali Salisbury ze względu na bliskość bazy na wyspie Wallops. Razem kupili dom i razem go umeblowali. Potem jednak było między nimi coraz gorzej. Nie mogli mieć dzieci, a Gloria nudziła się i w domu, i w pracy, która polegała na kierowaniu miejscową restau-

racją, ożywającą na dobre właściwie tylko w weekendy. Nie chciała już słyszeć o rakietach i nawet na podziwianie kolejnych startów trzeba ją było długo namawiać. Mimo to Keller wciąż ją kochał i pociągała go jak dawniej. Na swój sposób była dla niego najwyższym symbolem statusu, zwieńczeniem życiowego dzieła – jego amerykańską żoną. Zasłużył na nią.

Opowiedział jej o swoim nowym znajomym, Harrym Johnsonie, oraz o jego propozycji. Nie wyobrażał sobie, że mógłby zrealizować tak ryzykowny plan bez aprobaty Glorii. Cieszył się, że spytał ją o zdanie. Stawka była niestychanie wysoka. Miał popełnić przestępstwo, za które – gdyby się wydało – oskarżono by go o zdradę. Na szczęście Gloria od samego początku wykazywała nawet większą determinację niż on sam, wspierała go, gdy brakowało mu odwagi. Od tygodni dyskutowali o tym, jak wspiana będzie ich wspólna przyszłość, na co wydadzą pieniądze i jak ostrożnie będą to czynić, by nie skończyły się zbyt szybko. Keller miał wrażenie, że jego małżonka przeszła metamorfozę – przypominała mu, jaka była w tych szczęśliwych czasach, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Wróciła jej energia, wróciła *Lebensfreude*. Odżył nawet jej apetyt na seks, znowu oddawała się w jego ręce tak chętnie, jak w noc poślubną.

Tego dnia czekała na niego w drzwiach ich krytego drewnem bungalowu z panoramicznym oknem w salonie i garażem z uchyloną bramą. Był to dom prosto z katalogu, z niebrzydkiem ogródkiem od frontu, otoczonym płótkiem ze sztachet malowanych na biało. Pocałowali się na progu. Gloria miała na sobie kwiecistą sukienkę, ciasno spiętą w tali. Jasne loki opadały jej na ramiona. W tym momencie Keller pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek.

- Przywiozłeś – stwierdziła.
- Tak.
- Przeliczyłeś?
- Nie trzeba. Jest tyle, ile ma być.
- Trzeba było przeliczyć.
- Możemy to zrobić w domu.

Weszli razem do ładnie utrzymanego salonu z kanapą, niską ławą i telewizorem wbudowanym w szafkę. Otworzyli teczkę i wspólnie przeliczyli pieniądze. Keller stał za plecami żony, obejmując ją ramionami. Wyraźnie czuł dotyk jej pośladków. Gdy już wiedzieli, że kwota się zgadza, Gloria odwróciła się nagle i cmoknęła go w policzek.

– Włożyłam szampana do lodówki – powiedziała.

Podążył za nią do kuchni i czekał cierpliwie, gdy przez dłuższą chwilę szukała czegoś w szufladzie.

– Nie mogę znaleźć korkociągu – poskarżyła się.

Podszedł do niej i dopiero wtedy uświadomił sobie, że przecież nie potrzeba korkociągu, by otworzyć butelkę szampana. W tej samej chwili Gloria obróciła się gwałtownie i poczuł, że coś się w niego wbija. Spojrzał w dół i nie wierząc własnym oczom, zobaczył rękojeść noża wystającą z jego brzucha. Nie, to jakaś pomyłka, pomyślał. To się nie mogło stać. Lecz gdy uniósł głowę i spojrzał w oczy żony, wiedział już, że to prawda. Próbował coś powiedzieć, ale krew uchodziła z niego zbyt szybko. Zabrakło mu tchu, a zaraz potem życia. Trzymając swą kobietę za ramiona, opadł na kolana, a gdy odstaąpiła o krok, osunął się na twarz. Spojrzała na niego i się wzdygnęła. Nie, to nie krew rozlewająca się po linoleum budziła w niej odrazę. To wspomnienie dotyku jego dłoni i kwaśnego oddechu.

Pozostało jej tylko jedno.

Benzynę kupiła wcześniej, a teraz spryskała nią zwłoki męża, kuchenne meble, salon i schody. Przyciągnęła walizkę z nielicznymi rzeczami, które pragnęła zabrać ze sobą, po czym przesyłała do niej pieniądze z teczki. Wreszcie zapaliła zapałkę.

Zabrała crosleya kombi, którym jeździł jej mąż. Był to okropny samochód, ale wierzyła, że zdoła przynajmniej przewieźć ją na drugi koniec kontynentu, do Kalifornii, gdzie zamierzała rozpocząć nowe życie. Zjechała z podjazdu i skręciła na ulicę, nie oglądając się za siebie. To dlatego nie widziała nawet, jak pierwsze języki płomieni wpęłzają na ściany budynku, buchając dymem w stronę wieczornego nieba.

CZĘŚĆ PIERWSZA



Co się wznosi...

Znowu w pracy

*J*ames Bond otworzył oczy. Była dokładnie siódma – nie musiał spoglądać na budzik stojący przy łóżku, by o tym wiedzieć. Poranne promienie słońca po omacku szukały drogi przez szpary między zasłonami. Kwaśny posmak w ustach mógł oznaczać tylko jedno, o jedną whisky za dużo poprzedniego wieczoru. O której właściwie poszedł do łóżka? Musiało być dobrze po północy. A „do łóżka” to nie to samo, co „spać”.

– Która godzina? – spytała cichym, sennym głosem kobieta leżąca u jego boku.

– Siódma. – Bond sięgnął ku niej i najpierw pogładził jej czarne włosy, przycięte krótko nad karkiem, a potem zjechał palcem nieco niżej.

– Daj spokój, James. Muszę jeszcze pospać. Za wcześnie dla mnie.

– A dla mnie nie.

Wyskoczył z łóżka i poszedł do łazienki. Jedną z osobliwości apartamentu, który zajmował w tym przebudowanym domu przy King's Road w Chelsea, pamiętającym czasy regencji, był fakt, iż doskonale oświetlona, wyłożona białymi kafelkami główna łazienka była dokładnie tej samej wielkości, co sypialnia. Możliwe, że jedno z tych pomieszczeń było zbyt małe, a drugie zbyt wielkie, lecz Bond przywykł do tego i nie widział powodu, żeby cokolwiek zmieniać, marnować czas na dyskusje z architektami i budowlańcami tylko po to, by dopasować się do konwencji. Wszedł do oszklonej kabiny

prysznicowej i odkręcił kurek. Jak każdego ranka stał przez pięć minut najpierw w strumieniu bardzo gorącej, a następnie lodowato zimnej wody.

Wyszedł i owinąwszy się ręcznikiem, stanął przy umywalce. Wiódł życie kompletnie nieprzewidywalne, życie, które w dowolnym momencie mogło zakończyć się w nader gwałtowny sposób, i dlatego ów niezmienny poranny rytuał tak wiele dla niego znaczył. Dobrze było rozpocząć dzień w poczuciu, że wszystko jest na swoim miejscu. Ogolił się, używając kremu do golenia z pomarańczą i bergamotką, kupionego we Floris przy Jermyn Street, a potem obmył twarz. Przeciągnął dłonią po zaparowanym lustrze i jak co dzień – baczny spojrzeniem szaroniebieskich oczu omiół swą szczupłą twarz i wąskie usta, które tak łatwo zaciskały się w okrutnym grymasie. Obrócił głowę, by spojrzeć kątem oka na smugę na prawym policzku, ślad po kuli wystrzelonej z bliska na pokładzie stratocruisera lecącego wysoko nad Atlantykiem. Na szczęście oparzona skóra zaczynała już blednąć. Bond miał już bliznę na twarzy i uważał, że o ile jedna może uchodzić za pamiątkę nieszczęśliwego wypadku, to dwie z pewnością wzbudzałyby ciekawość, rzecz zdecydowanie niepożądaną w jego profesji.

Sięgnął po świeże bawełniane szorty Sea Island i wrócił do sypialni. Łóżko było puste, ale ciepła pościel pamiętała jeszcze ostatnią noc. Stanął przed szafą i wydobył z niej ciemny garnitur, białą jedwabną koszulę oraz wąski krawat z szarej satyny. Ubierając się pospiesznie, z przyjemnością chłonał aromat kawy, który napłynął od strony kuchni. W końcu wsunął stopy w czarne skórzane mokasy, umieścił papierosnicę z oksydowanej stali w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyszedł z pokoju. Było kilka minut po siódmej trzydzieści.

Pussy Galore czekała na niego w kuchni, ubrana w zbyt obszerną, męską koszulę i nic ponadto. Gdy wszedł, odwróciła się i spojrzała na niego owymi niezwykle, fiołkowymi oczami, które tak mu się spodobały, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, niewiele ponad dwa tygodnie wcześniej, w magazynie w Jersey City. Była wówczas szefową lesbijskiej organi-

zacji o nazwie Betoniarki, którą Auric Goldfinger zatrudnił do pomocy w organizacji skoku stulecia. Sprawy potoczyły się jednak tak, że to Bond i Pussy Galore zostali sprzymierzeńcami, a potem, co nieuniknione, kochankami. Podbój ten sprawił agentowi wyjątkową satysfakcję, bo od początku wyczuwał w niej swoistą nietykalność, brak zgody na miłość. Pożądał jej od pierwszej chwili, gdy szła ku niemu w dobrze skrojonym garniturze męskiego kroju, pewna siebie w sali pełnej bandytów. Przyjrzał się ponownie jej czarnym, beztrudno przyciętym włosom, pełnym ustom i mocno zarysowanym kościom policzkowym. Trudno było uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która podejrzliwie, wręcz nienawistnie traktowała mężczyzn – aż do chwili, gdy on pojawił się w jej życiu.

Napełniła dwie filiżanki kawą De Bry – ulubioną, ekstramocną mieszanką Bonda – a po chwili postawiła na stole samotne jajko na miękko.

– Proszę – powiedziała. – Gotowane przez trzy i jedną третią minuty. Tak jak lubisz.

Sama nie zamierzała jeść. Zdażyła za to przyrzadzić sobie Krwawą Mary z doprawdy szczodłą dawką wódki Smirnoff White Label oraz porcją sosu tabasco, od której jej żołądek mógł się zająć ogniem. Usiadła przy stole, w zamyśleniu mieszając drinka laseczką selera.

– Co masz na dziś w planach, Bond? – spytała po chwili. – Zaczynasz pewnie o ósmej trzydzieści. Ja w innej branży nigdy nie wychodziłam z łóżka przed dziesiątą. I często miałam sporo do zrobienia przed śniadaniem, naturalnie w zależności od tego, z kim akurat byłam. Bywałam w naprawdę wykwintnych zakątkach Nowego Jorku i powiadam ci, nadałam pojęciu „pomoc domowa” zupełnie nowe znaczenie. Ale ty jesteś inny niż tamci, prawda? Ratujesz kraj ze trzy razy jeszcze przed lunchem...

Tego dnia Bond był zapisany na godzinną sesję na strzelnicy w podziemiu gmachu, w którym pracował. Resztę czasu zamierzał poświęcić na przekopanie się przez stertę papierów, które zebrały się na biurku podczas jego nieobecności, być może z przerwą na lunch z Billem Tannerem, sze-

fem sztabu i najbliższym przyjacielem w całej służbie. O tym wszystkim nie zamierzał jednak informować Pussy. To, co działo się w murach dziewięciopiętrowego budynku opodal Regent's Parku, musiało tamże pozostać i nie należało o tych sprawach rozmawiać z niewtajemniczonymi. Bodaj najłatwiej było po prostu milczeć.

– A co będzie z tobą? – spytał.

– Jeszcze nie zadecydowałam. – Selerowa pałeczka zatoczyła kolejny krąg wzdłuż szklanej ścianki. – Naprawdę podoba mi się to twoje miasto. Wszystko, co mi pokazałeś – i Tower, i pałac, i Izby Czegoś Tam... Nigdy nie sądziłam, że pojedę do Londynu, ale teraz rozumiem, dlaczego wy, Brytyjczycy, jesteście tacy zadowoleni z siebie. Może nawet mogłabym tu mieszkać? Na początek musiałabym poszukać sobie mieszkania. Co o tym sądzisz?

– To jest myśl.

– Ale kiepska. Nie pozwolą mi na to. Komu potrzebna taka kanciarą jak ja? Może tobie, ale z niewłaściwych powodów. – Westchnęła. – Sama nie wiem. Chyba nie mam nastroju na dalszy ciąg zwiedzania. Nie chcę sama.

– Nie dostanę więcej wolnego.

– W porządku. Pójdę na zakupy. Chyba właśnie po to dziewczyny odwiedzają Londyn, czyż nie? Kupię kapelusz.

– Komicznie będziesz w nim wyglądać.

– A kto powiedział, że to dla mnie?

– Nie wrócę późno. Wieczorem możemy wybrać się gdzieś razem. Zarezerwowałbym stolik w Scott's.

– Tak. Pewnie. – W jej głosie pobrzmiwało znudzenie. – Pod warunkiem, że nie każesz mi więcej jeść ostryg. Jestem pewna, że jakoś przetrzymam wieczór bez śluzowatej brei w ustach.

Zaczekała, aż Bond skończy jeść jajko, a potem zapaliła dwa papierosy, ale nie te, które lubił, od Morlanda – produkowane specjalnie dla niego – tylko swoje chesterfieldy. Podała mu jeden z nich. Zaciągnął się głęboko i przyszło mu na myśl, że pierwszy poranny papieros smakuje zdecydowanie lepiej, jeśli dotknęły go wcześniej usta pięknej kobiety.

Nie odzywali się przez jakiś czas i było to milczenie niezręczne, pełne ponurych myśli i słów niewartych wypowiedzenia. Bond sięgnął po kawę, a potem po „The Timesa”, którego Pussy przyniosła spod drzwi. Ani słowa o awanturze w Stanach. To już nie materiał na pierwszą stronę. Artykuł o apartheidzie. Rada ds. Badań Medycznych twierdzi, że odkryto związek między paleniem tytoniu a występowaniem raka płuc. Bond zerknął na rozżarzoną końcówkę papierosa, którego trzymał w lewej dłoni. Cóż, nigdy przecież nie palił dla zdrowia, a jeśli rak wyobrażał sobie, że odbierze mu życie, to powinien zająć miejsce w kolejce. Bond odłożył gazetę, wstał i cmoknął w usta Pussy, która właśnie dopiła swoją Krwawą Mary.

– Do zobaczenia.

Objęła go nagle i twardo spojrzała mu w oczy.

– Wiesz... jeśli chcesz, żebym się wyniosła, wystarczy słowo.

– Nie chcę, żebyś się wyniosła.

– Nie? Pamiętaj, to ty mnie tu zaprosiłeś. Wcześniej doskonale radziłam sobie bez ciebie i teraz też cię nie potrzebuję.

– Schowaj pazurki, Pussy. Ciesz się, że tu jesteś.

Ale czy rzeczywiście? Siedząc za kierownicą bentleya o czteroipółlitrowym silniku, sunącego bezszelestnie w stronę Hyde Parku, Bond rozmyślał o tym, co powiedział, bo wcale nie był pewny, czy były to szczerze słowa.

To, co zaczęło się jako rutynowe śledztwo w sprawie przemytu złota, zmieniło się w jedną z najbardziej niebezpiecznych – i najbardziej fantastycznych – misji w całej jego karierze. Jakimś cudem znalazł się w samym środku spisku, który połączył wysiłki elity amerykańskich syndykatów zbrodni, w tym takich organizacji jak Maszyna, Betoniarce i Unione Siciliana. Właśnie wtedy poznał Pussy Galore i to ona została przy nim, gdy przyszedł czas ostatecznej konfrontacji z Goldfingerem w nurkującym ku ziemi stratocruiserze. Prawda była taka, że panna Galore zbytnio mu wtedy nie pomogła, ale nie mógł zaprzeczyć, że myśl o niej, o przyjacielu w obozie wroga, zmobilizowała go do szalonej próby ucieczki.

Dopiero potem pojawiło się pytanie: co właściwie powinien z nią zrobić? Opuszczał Amerykę w ogromnym pośpiechu i w medialnym chaosie – dziennikarze chcieli wiedzieć, co się właściwie wydarzyło. W FBI i Pentagonie bito na alarm. Fakt, iż Goldfinger był bliski użycia broni chemicznej na terytorium Stanów Zjednoczonych, wywołał zdumienie i oburzenie w najwyższych kręgach władzy. Przestępca przyznał się przed Bondem, że zgładził czterech przywódców najważniejszych gangów, ale twierdzenie to wymagało weryfikacji, a tymczasem w całych Stanach trwały aresztowania ich współników. Pussy Galore także brała udział w spisku. Była znaną przestępczynią, miała za sobą długą drogę od prymitywnej kradzieży do zorganizowanej przestępczości. Była współwinną morderstwa Helmuta M. Springera z Purpurowego Gangu. Nie była aniołem, a Amerykanie zdecydowanie nie mieli nastroju na czynienie wyjątków. Gdyby wpadła w ich ręce, poszłaby na dno.

W tej sytuacji Bond uznał, że nie ma wyboru. Zabrał ją na Wyspy, usprawiedliwiając (fałszywie) jej czyny rzekomą zgodą na współpracę, a także twierdząc, że jego podopieczna dysponuje informacjami, które mogą pomóc Bankowi Anglii odszukać przemycone już złoto. Pussy Galore nigdy wcześniej nie była w Londynie. Nie miała się gdzie zatrzymać. Bond uznał, że najrozsądniej będzie umieścić ją w jego domu... przynajmniej do chwili, aż sprawy nieco przycichną. Sądził, że do tego czasu zdążą wymyślić nowy plan działania.

A teraz żałował swojej decyzji. Ta kobieta go potrzebowała, lecz coś w jego naturze sprawiało, że nie chciał się czuć potrzebny, wręcz gardził tą ideą. Nie podobało mu się i to, że z dala od Harlemu Pussy jest bezradna jak ryba wyjęta z wody. Ten związek zaczynał tracić na atrakcyjności, niczym ulubiony garnitur noszony zbyt wiele razy.

Bond wiedział, że to nie fair, ale nie czuł się swobodnie, dzieląc życie z kobietą. Pamiętał czas spędzony z Tiffany Case, przygodę zakończoną bezsensownymi kłótniami i ostrymi słowami, po których dziewczyna wyniosła się do

hotelu, a potem na dobre odeszła. Owszem, nadal pożądał Pussy Galore, ale nie chciał z nią być. Irytowało go nawet to gotowane jajko, które podała mu na śniadanie. Zgoda, miał swoje fanaberie. Wiedział, co lubi i jak to lubi. Nie lubił natomiast, by mu o tym przypominano, i nie podobała mu się nuta drwiny w głosie Pussy Galore.

Nie wiedział, co z nią zrobić. Spędzili razem kilka wspaniałych dni, niczym turyści odwiedzając co bardziej znane zakątki Londynu. Przyjmowała wszystko z zachwytem, z dziecięcą wręcz radością, jak to często bywa z ludźmi, którzy nareszcie wyrwali się ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Namówiła go na rejs w dół rzeki i gdy tak siedzieli razem na pokładzie, podziwiając kolejne mosty, mogli uchodzić za typową parę, za dwoje ludzi cieszących się swoim towarzystwem, a potem cieszących się sobą nawzajem. To nie mogło trwać wiecznie. Bond zaczynał czuć dyskomfort. Ostatniego wieczoru natknęli się na znajomego w Savoyu i w duchu czuł satysfakcję, widząc, jak pożądlive spojrzenie omiata ponętne kształty jego towarzyszk. Lecz ona sama wszystko popsowała – kiedy się przedstawiła. Pussy Galore. Imię i nazwisko, które wydawały mu się wyzywające i całkiem trafne, gdy spotkali się po raz pierwszy na mafijnym kongresie w Jersey City, w londyńskim hotelu brzmiały nie stosownie, niemal infantylnie.

Cieszył się, że May, jego leciwa gospodyni, wyjechała na cały miesiąc, by zająć się chorą siostrą w Arbroath. Co miałyby do powiedzenia o nowej lokatorce? Mijając Hyde Park Corner, by zaraz skręcić w Park Lane, Bond niemal słyszał jej głos, jakby siedziała tuż obok: „W porządku, panie Jamesie. Może pan se robić, co się panu podoba, i nie moja to sprawa krytykować. Ale gdyby pan pytał, powiedziałabym, że byłoby lepiej, gdyby zaopiekowała się panem jakaś miła młoda panienka z Anglii. Albo jeszcze lepiej ze Szkocji. Wie pan, co to się gada – wybieraj żonę w nocnym czepku! Musi pan o tym pamiętać...”

Dwie godziny później, wciąż pachnąc kordytem, Bond wysiadł z windy na piątym piętrze kwatery głównej Secret

Service i ruszył w stronę drzwi na końcu korytarza, po prawej stronie. Znajdował się za nimi przedsionek, w którym siedziała młoda kobieta, zajęta sortowaniem korespondencji. Dyskretna, lojalna, sprawna, a na dodatek uderzająco piękna – Bond nie wyobrażał sobie współpracy z kobietą przeciętną czy nieatrakcyjną. Zazwyczaj witała go niemal czule, wieszala jego płaszcz i streszczała najświeższe biurowe plotki. Tym razem było inaczej. To ona organizowała jego podróż do Ameryki, także tę powrotną. To ona przepisywała raporty. Niewątpliwie wiedziała już, że Bond nie wrócił sam, że w Chelsea ukrywa się niejaka P. Galore. Loelia Ponsonby nie była zazdrosna – nie była nawet zdolna do zazdrości. Zbyt długo jednak żyła w świecie Secret Service – złożonym, całkiem dosłownie, z tajemnic oraz służby – i przesiąkła surowymi zasadami, które nim rządziły. Nie podobało jej się to, że agent z sekcji 00 pozwala sobie na figle z osobą, która może w najlepszym razie przeszkadzać mu w pracy, a w najgorszym – stanowić zagrożenie dla procedur bezpieczeństwa.

– Jakież wieści?

– Dzwonił pan Dickson. Mówił, że przyjedzie w przyszłym tygodniu. Życzy sobie spotkania w Swinley.

Bond uśmiechnął się do siebie. Nazwisko Dickson było jednym z wielu, którymi posługiwał się agent 279, działający w Stacji H, czyli w Hongkongu. Każdego roku wracał do Anglii na dwa tygodnie, by uciec ze swego ciasnego biura bez okien, ukrytego w budynku na nabrzeżu. „Dzięki Bogu, znowu dwa tygodnie z dala od Pachnącego Portu” – mawiał. Niezmiennym elementem jego urlopowego rytuału była partia golfa z Bondem, podczas której – jako jeden z najmarniejszych graczy na tej planecie – niemal każde ze swych mniej lub bardziej nieudanych uderzeń komentował wiązaniami nader kwiecistych przekleństw. Uparcie tłumaczył też Bondowi, że w Hongkongu mają tylko jeden klub golfowy, „a trawę sprowadzają z Afryki, dasz wiarę?” Lubił te coroczne zmiany otoczenia. Choć przez chwilę czuł się jak w domu.

– Coś jeszcze? – spytał Bond.

– Tylko papierkowa robota. – W jej głosie dało się wyczuć nutę współczucia. Znała jego zdanie na temat papierkowej roboty.

Bond wszedł do swego gabinetu z trzema biurkami – z których dwa, jak zawsze, były wolne – i usiadł w fotelu. Loelia Ponsonby ułożyła dla niego całkiem zgrabny stos szarych teczek. Wiedział, że na wierzchu znajdzie najpilniejsze sprawy. Wyjął papierośnicę i zapalił po raz piąty tego dnia. Zaciągnąwszy się głęboko, sięgnął po teczkę.

Ledwie zdążył położyć ją przed sobą, gdy zadzwonił telefon. W pokoju o wysokim stropie i ścianach wyłożonych boazerią sygnał brzmiał wręcz nieprzyzwoicie głośno.

– Możesz wpaść? – odezwał się w słuchawce głos szefa sztabu M. – M chciałby zamienić z tobą słowo.

I to było wszystko. Osiem słów, które mogły zwiastować wszystko: nowe zadanie, niewinne zaproszenie albo czyjaś nagłą śmierć. Bond zaciągnął się raz jeszcze, a potem zgasił papierosa i ruszył na spotkanie z przeznaczeniem.

Spis treści

Prolog	5
Część pierwsza. Co się wznosi...	17
1. Znowu w pracy	19
2. Ryzyko na najwyższym biegu	28
3. Szkoła jazdy	39
4. Diabli Krąg	47
5. Bez żalu	60
6. Nürburgring	68
7. Morderstwo na kołach	80
8. Zamek Sina	92
9. Skok w ciemność	102
10. „Proszę wybrać kartę...”	117
11. Jeopardy	125
12. Inżynieria raketowa	132
Część druga. ...musi opaść	141
13. Pan i władca	143
14. W środku nocy	154
15. Tropem pieniędzy	167
16. W jaskini lwa	175
17. Nogeun-ri	186
18. „...dowolną kartę”	203
19. Sześć stóp pod ziemią	213
20. Naga agresja	221
21. Pociąg za milion dolarów	230
22. Widzenie tunelowe	242
23. Ostatnie odliczanie	254
24. Czas podróży	265
Podziękowania	276

WIELKI POWRÓT AGENTA 007

Powracają również
PUSSY GALORE, PANNA MONEYPENNY, M
oraz odwieczny wróg Bonda
SMIERSZ

Pojawia się
JEOPARDY LANE
dziewczyna inna niż wszystkie

JAMES BOND wraca do Londynu po pokonaniu Aurica Goldfingera. Towarzyszy mu piękna i niebezpieczna Pussy Galore, która pomogła mu odnieść zwycięstwo. Tymczasem nasila się rywalizacja naukowo-techniczna między Związkiem Radzieckim a Zachodem. Smiersz planuje akcję sabotażową podczas wyścigów samochodowych w Niemczech Zachodnich. Bond przypadkowo widzi spotkanie rosyjskiego kierowcy na usługach Smierszu z tajemniczym koreańskim milionerem i dochodzi do wniosku, że jest to ledwie wstęp do nowego planu radzieckiej organizacji. Milioner-sierota, ofiara wojny koreańskiej, ma osobiste powody, by przyłożyć rękę do ostatecznego upadku Stanów Zjednoczonych. Czy pomoże Rosjanom rozgromić Zachód?

NA CAŁYM ŚWIECIE sprzedano ponad 100 milionów książek z serii o Jamesie Bondzie. Anthony Horowitz oddaje w ręce czytelników powieść w niczym nieustępującą dokonaniom samego Iana Fleminga, pełną nowych przygód i znajomych twarzy, takich jak M czy panna Moneypenney. Akcja toczy się błyskawicznie, a świat szybkich samochodów, pięknych kobiet i bezlitosnych złoczyńców wciąga czytelnika bez reszty. Nic nie ustrzeże cię przed *Cynglem śmierci!*



www.rebis.com.pl

Cena det. 37,90 zł

ISBN 978-83-7818-796-7



PATRONAT MEDIALNY

